

Autor: Anna10

Praca konkursowa „Nasza ziemia, nasz dom – pamiętnik pokoleń c.d.”

„Drodzy Franku i Julio...”

Drodzy Franku i Julio - moje kochane prawnuki - chciałabym Wam opowiedzieć historię mojego życia, mojego dzieciństwa, lat młodości. A jest to opowieść przepełniona goryczą, cierpieniem, lękiem i niepewnością. Jest w niej też o tym, ile człowiek jest w stanie znieść, by przetrwać i iść dalej, żyć dalej, działać w nadziei na lepszy byt.

Nadzieja – to ona uzbrajała nas w siłę, determinację i nie pozwalała, by nasze serca zastygły znieczulone koszmarem bestialskiej wojny – wojny, którą zafundowali nam ludzie. Tak, to właśnie człowiek, nie zwierzę, nie maszyna, czy obcy z kosmosu, tylko istota ludzka - rzekomo najinteligentniejsza i najwrażliwsza - zamieniła się w maszynę do grabienia, niszczenia, brutalnego pastwienia się, czy wreszcie mordowania w przemyślny i jakże okrutny sposób. Dotąd, choć upłynęło już morze lat, nie potrafię pojąć, dlaczego tak się stało. Co skłoniło ludzi do takich czynów? Dziś, kiedy ktoś zamorduje, mówi się o nim, że to psychopata, że potrzebuje leczenia, że to pewnie jakaś choroba, albo wyjątkowo trudna sytuacja życiowa lub traumatyczne wydarzenie z dzieciństwa popchnęło go do takiego działania. Jak wytłumaczyć więc zachowanie tylu osób – setek, tysięcy, które odbierały życie z zimną krwią? Czy to choroba? Plaga? Czy też szatańskie wpływy? Czy człowiek potrafi tak zmienić siebie, zmienić kierunek myślenia, zasady wpajane przez środowisko rodzinne i ogół społeczny jako dobre i stać się bestią pragnącą ludzkiej krzywdy, karmiącą się cierpieniem, strachem i rozpaczą? W jednej chwili przyjaciel stawał się wrogiem, sąsiad donosicielem, jeszcze inny - porządny i szanowany obywatel - zostawał katem, oprawcą. W imię czego? Pytam Boga, pytam ludzi – nikt nie wie...

Pochodzę z województwa tarnopolskiego, powiatu Kopyczyńce. Tam zastała mnie wojna w 1939 roku. Już 10 lutego 1940 roku wywieźli mnie na Sybir. Pamiętam, była to sobota rano. Zauważyłam jadące do naszego domu furmanki, a na nich rosyjskich żołnierzy. Kazali się nam spakować i powiedzieli, że zawiozą nas do innej wsi. Nie wolno nam było zabierać wiele, bo mieliśmy dostać wszystko, co nam będzie potrzebne. Biliśmy przerażeni. Wsadzili nas na sanie i zawieźli do Husiatyna. Tam załadowali nas na pociąg. Ktokolwiek się opierał, buntował, szybko stawał się przykładem dla innych, by tego nie czynić. Brano

delikwenta na stronę, po czym zapadał wyrok. Było nas czworo w rodzinie: ojciec, matka, mój młodszy brat w wieku 5-ciu lat i ja. Miałam wtedy niecałe 10 lat. Ludzie widząc, że nas zabierali i nie mamy ze sobą wielu rzeczy, rzucali nam na sanie, co kto miał, chleb, czy też kawał słoniny, bo wiedzieli, że czeka nas daleka droga. Sowieci przygotowali cały transport z sąsiednich wiosek. Mówili, że wysiedlają nas dlatego, że jesteśmy „kułaki”. Wsadzili nas do wagonów towarowych. Jechaliśmy jak bydło. W wagonach cuchnęło odchodami. Były już tak przeładowane, że trudno było znaleźć miejsce. Nie wszyscy mogli siedzieć. Część musiała stać. Pozbijano naprędce prycze. W taki oto sposób wywożono nas na Sybir.

Była ostra zima. Ojciec, widząc głębokie śniegi i trzaskający mróz zapłakał. Mówił, że on sobie radę da, ale dzieci mu chyba poumierają w tych warunkach. Niestety, jego obawy częściowo się ziściły. Zawieźli nas do rejonu (oblast) Archangielska. Ojciec pracował przy ścinaniu drzewa, a matka ściągała z nich wióry. Zimą ojciec pracował w tartaku, a matka była z nami w domu. Do wiórowania drzewa chodziła dopiero, gdy stajał śnieg. Ja natomiast z młodszym bratem zbierałam w lesie poziomki i grzyby. O nauce w szkole nie było mowy. Nauczyliśmy się jedynie trochę po rosyjsku, rozmawiając z miejscowymi dziećmi. Niestety, ludzie miejscowi byli zastraszeni. Nie wiedzieli, kim jesteśmy, nie kontaktowali się i nie rozmawiali z nami wiele. Ojciec znał rosyjski język i zaznajomił się z brygadierem, który okazał się bardzo dobrym człowiekiem i pomagał nam, na ile to było możliwe. Nasze baraki były odseparowane, w lesie, z dala od domów miejscowych. Początkowo dostawaliśmy z Polski paczki z żywnością, głównie kaszą, mąką i dzięki temu mogliśmy przeżyć.

Pamiętam pierwsze Święta Bożego Narodzenia. Nie było co postawić na stole, jak to było w Polsce, w zwyczaju. Podzieliliśmy się suchym chlebem i taka była nasza Wigilia.

Przebywaliśmy w tych lasach aż do momentu, gdy rodzice dowiedzieli się, że ogłoszono amnestię po podpisaniu umowy między rządem polskim a sowieckim. Rosjanie przyszli do nas do baraków i powiedzieli, że jesteśmy wolni. Spakowaliśmy nasz skromny dobytek i - każdy na własną rękę - ładował się do wagonów. Pojechaliśmy na południe. Nie mieliśmy co jeść. Na jednej ze stacji mój ojciec, a z nim kilku innych mężczyzn, wysiedli z wagonu i poszli do pobliskich osiedli w poszukiwaniu chleba. Tymczasem pociąg ruszył, a oni wszyscy zostali. Po dziś dzień nie wiem, co się z nimi stało. Zaginęli bez śladu. Została matka z dwojgiem dzieci, bez dokumentów, gdyż ojciec miał wszystkie papiery ze sobą.

Wylądowaliśmy w kołchozie, w Piskencie, w Uzbekistanie. Zawieźli nas na plantację bawełny, którą zbieraliśmy w lecie, a jesienią obieraliśmy orzeszki (fistaszki) oraz karmiliśmy

jedwabniki. Nie płacili nam rublami, jedynie wydzielali otręby z mąki. Z tego piekło się placki, które były naszym jedynym pożywieniem. Aby przeżyć usiłowaliśmy czasem kraść z magazynu trochę kartofli. Używaliśmy do tego długiego cienkiego kijka, którym przez dziurę w ścianie, z ogromnym strachem, wyciągaliśmy po kartoflu. Miejscowa ludność uzbecka, nie wiedziała kim jesteśmy i nie okazywała nam przychylności. W kołchozie było wielu Polaków. Po pewnym czasie przewieźli nas z tego kołchozu do innego. Tam mój młodszy brat zachorował na odrę i przeziębił się. Nie było żywności, nie było leków, nie było mowy o żadnej pomocy lekarskiej. Po kilku dniach brat zmarł. Miał wtedy 6 lat. Pochowaliśmy go na tamtejszym cmentarzu.

Kilku mężczyzn dowiedziało się, że w Jangi Jul tworzy się polska placówka organizująca polską armię. Uciekliśmy wtedy z kołchozu, zabierając ze sobą co kto miał, do najbliższej stacji kolejowej. Musieliśmy się przepawić przez szeroką rzekę o wartkim prądzie. Było nas 6 rodzin, same kobiety z dziećmi. Wynajęliśmy 5 wielbłądów. Powsadzali nas na nie i przewieźli przez rzekę. Dostaliśmy się do stacji i pociągiem dojechaliśmy do polskiej placówki - do Wreska. Tam się nami zaopiekowali i nakarmili. Mimo, iż wojsko miało ograniczone przydziały żywności, dzielili się z nami – ludnością cywilną. Dopytywałyśmy się o ojca, ale nikt nie mógł nam udzielić żadnych informacji. Ślad po nim i innych, którzy mu towarzyszyli, zaginął. W Wresku matka oddała mnie do sierocińca, bo tam były rzekomo lepsze warunki i miało to zwiększyć moje szanse na przetrwanie. Matka jednakże nie mogła wykazać, że jestem Polką, bo dokumenty zaginęły razem z ojcem. Na podstawie zeznań dwóch kobiet z naszej kolonii i księdza udało się odtworzyć zastępcze dokumenty. Przyjęto mnie zatem do sierocińca, w którym przebywałam przez kilka miesięcy. Bierzmował nas ksiądz Gawlina.

Po jakimś czasie cały sierociniec wywieziono do Krasnowodzka. Matka została w obozie, a sierociniec wywieziono do Persji, do Pahlawi. Na miejscu zaprowadzono nas do łaźni, ogolono zupełnie włosy i zdezynfekowano piaskowym mydłem. Podzielili nas na grupy i zawieźli ciężarówkami do Teheranu. Zachorowałam na malarię, więc zabrali mnie do szpitala, gdzie leżałam dwa tygodnie. Matka przyjechała do Pahlawi późniejszym transportem, odnalazła mnie w szpitalu i zabrała do siebie. Z Teheranu wywieźli nas do Karaczi, do Indii. Byliśmy tam kilka miesięcy. Pamiętam przede wszystkim panujące tam ogromne upały. Nie można było wyjść na dwór bez specjalnych nakryć głowy.

Rozpoczęto rejestrację na wyjazd do Afryki lub do Meksyku. Zdecydowałyśmy się na Meksyk. Dojechaliśmy do portu w Bombaju, wsiedliśmy na amerykański statek i dopłynęliśmy do San Francisco. Podróż okrężną drogą trwała 6 tygodni. Zatrzymywaliśmy się w Australii i Nowej Zelandii, aby uzupełnić paliwo. Australijska Polonia zaopatrzyła nas w odzież. Kilkakrotnie w czasie podróży ogłaszano alarm spowodowany zagrożeniem prawdopodobnie przez japońskie łodzie podwodne. Musieliśmy ubierać kamizelki ratunkowe i wychodzić na pokład. W całym transporcie było nas około 700 osób, większość kobiety i dzieci oraz kilku starszych mężczyzn.

Zawieźli nas pociągiem z San Francisco do Meksyku. Tam zaopiekowała się nami Rada Polonii Amerykańskiej. Umieścili nas w szkole. Po dwóch tygodniach przewieźli nas do kolonii Santa Rosa. Była to willa jakiegoś bogatego Meksykanina. Na początku uczyłyśmy się czytać z gazety na łączce pod drzewami. Potem przyjechała siostra zakonna i nauka rozpoczęła się bardziej regularnie. Stary młyn przebudowano na szkołę. Dojechało jeszcze 7 siostr, profesor Sobota z Anglii oraz kilka polskich nauczycielek. Dostaliśmy z Anglii podręczniki. Założono harcerstwo, zorganizowano chór, urządzono tańce. Młodzież była w tym czasie bardzo zajęta. Meksykanie przyjęli nas bardzo serdecznie. Pamiętam, gdy przyjechałyśmy zabiedzone na stację, przyjęła nas miejscowa meksykańska orkiestra. Rozplakaliśmy się wszyscy ze wzruszenia. Dobrze nam było w Meksyku. Przebywaliśmy tam do roku 1946, kiedy to kolonia została rozwiązana. Wiele dzieci pojechało do Ameryki, wiele kobiet dołączyła do swych mężów, czy ojców do Anglii. Ja z matką pozostałyśmy jeszcze 9 miesięcy pracując u konsula amerykańskiego. Matka była tam kucharką, a ja opiekowałam się dziećmi.

W 1947 roku odszukała nas ciotka i zabrała do Kanady na farmę w Saskatchewan. Byłyśmy tam przez trzy miesiące. Kuzynka matki sprowadziła nas do Winnipegu, gdzie znalazłam pracę w szwalni. Wkrótce po przybyciu zapisałam się do chóru „Sokoła”. Tam poznałam swojego męża. Pobraliśmy się. Na początku było ciężko. Sprowadziłam matkę z farmy, dzięki czemu mogliśmy z mężem obydwójce pracować. Urodziła się nam córka. Kupiliśmy sobie mały domek, a później urodziłam syna. Wówczas otrzymaliśmy wiadomość z Polski - list którego oczekiwaliśmy tak długo i z takim upragnieniem - z informacją, że ojciec żyje.

Nie zastanawiając się długo kupiliśmy bilety i po kilkutygodniowej podróży statkiem oraz pociągami dotarliśmy do Wierzbowej. Tam czekał na nas ojciec. Zmieniony zupełnie,

wręcz nie do poznania. Zgarbiony, wysuszony lecz z błyskiem radości i łzami w oczach. Jak znalazł się w Wierzbowej - wiosce opuszczonej przez uciekających Niemców? To była bardzo długa i koszmarna droga ze stacji, która nas rozdzieliła, prowadząca poprzez walki pod Warszawą, pod Kołobrzegiem, gdzie był ciężko ranny i z trudem uszedł śmierci, pod Berlinem, gdzie widział brutalne gwałty Rosjan na niemieckich kobietach i zarzynane jak zwierzęta niewinne dzieci – długa i trudna do przebycia droga. Wreszcie, gdy okazało się, że wróci w rodzinne strony, zaczęło się przesiedlanie Polaków na zachód. Część pojechała na Pomorze, a część na Dolny Śląsk. Zdecydowano, że ocaleni z naszej wioski osiedlą się w Wierzbowej i tak się stało. Początkowo ludzie sądzili, że to tymczasowo. Nikt nie dbał o tutejsze domy, bo obawiano się, że Niemcy wrócą i zechcą je odebrać. Wiele lat musiało upłynąć, nim świadomość o pozostaniu tu na zawsze zakorzeniła się w ludzkich umysłach. Teraz tu jest nasze miejsce na ziemi, nasz dom. Choć tęsknota i żal za utraconym dzieciństwem i światem naszych przodków tli się ukryta w głębi starego serca.

Drogie dzieciaczki, modłę się i błagam Stwórcę, byście nigdy nie doświadczyły tego, co mnie spotkało. Bo wojna to zło niewyobrażalne. Chcę, byście w waszych małych sercach nigdy nie czuły nienawiści i nie gardziły ludzkim życiem. Bo życie to dar najcenniejszy i najpiękniejszy. Szanujcie ludzi i żyjcie godnie. Twórzcie świat piękny i spokojny.